TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 26. *Chicago, Ills., 24 Grudnia, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

PAN KASZTELANIC.

...Wspominałem o tem już nieraz, jako stan żołnierski w tej Rzeczypospolitej naszej kondycyą bywał mizerną i ciężką, a już najbardziej w autoramencie cudzoziemskim. Zaznałem tego zaraz w pierwszych latach mojej służby, na skórze własnej przykrości tych ustawnych doświadczając, a gdybym tak nie był wyszedł z twardej i surowej szkoły cudzoziemskiej, i gdybym nie sumieniem i żołnierskim respektem obowiązku wobec króla Jegomości zaciągniętego, ale chwilową fantazyą i przykrą impressyą zniechęconego serca się wodził, byłbym już dawno porzucił służbę wojskową, nie czekając, aż mi się z nią rozstać przyjdzie wśród żałosnych okoliczności, przy ciężkim a opłakanym upadku kraju...

Ale człek nauczył się połykać rozmaite gorzkości w młodych leciech, a kiedy już cierpliwości nie stawało, tedy szukał pociechy w tej myśli, że kiedy obcym służył lat tyle, a ani

krwi ani srogiego trudu nie szczędził, to i dla własnego kraju teraz niczego litować nie powinien. Do tego przyszło i to, że z racyi tej mojej nieszczęśliwej młodości, która mi w obcym kraju i w obcych szeregach upłynęła, do niczego nie widziałem się być sposobnym, jeno do rycerskiego rzemiosła. Z części tej, co na mnie z fortuny rodzicielskiej przypadała, byłbym może uczciwie a bez troski żyć mógł, nie mówiąc już o dobrem ożenieniu się, do czego mnie i ludzie ciągnęli i nieraz bardzo fortunna sprzyjała okazya — alem się bał bezczynnego żywota, a chleb daremnie jeść zdało mi się zawsze rzeczą nie piękną.

Tak tedy biedę wlokłem wedle sił moich, na zawody a dolegliwości nie bacząc. Pociechą mi w tem było prawdziwą, żem rzemiosło żołnierskie ukochał sobie nad wszystko, i że wszelakie troski i dolegliwości, których mi zażywać przychodziło, dla kraju własnego ponoszę. Ale kiedy co boli, to boli, a choćby balsamy najprzedniejsze przykładać, zawsze coś z bólu tego zostanie. Więc też i mnie nieraz wszystkie owe pociechy nie wystarczały, kiedym widział jako stan mój w upośledzeniu był w Polsce, jak żołnierz bez opatrzenia zostawał, choć go tak mało było, i jak pierwszy lepszy krzykacz sejmikowy więcej znaczył niż najzdolniejszy i najstateczniejszy oficer. Przypominały mi się słowa brata mego Andrzeja, który koniecznie autorament cudzoziemski z głowy wybić a do podjeżdżania pod chorągwie nakłonić chciał; jakoż gdyby mi na tem było co zależało, aby w rycerza się bawić, szablą dzwonić a w bogatej zbroi chodzić, tobym był wszystko to znalazł pod chorągwią pancerną lub ussarską, i byłbym może tak samo rozkazywał oficerom autoramentowym, odemnie doświadczeniem i żołnierską applikacyą starszym, jak mnie mało co już we Lwowie taki pan Towarzysz nie rozkazywał.

Trzymał mnie także w służbie wojskowej i szef mój pan generał Korytowski, któregom i kochał i poważał, naukę militarną w nim wysoce ceniąc, trzymały mnie dalej także i rozmaite nadzieje, że przecież raz sejm nad opatrzeniem i augmentacyą sił regularnych pomyśli i tej mizeryi a nieładowi przecież koniec położy. Chyliło się też ku temu z razu szczęśliwie; posprowadzał król z zagranicy zdolnych generałów, jak np. pana Coccei, który w niemieckiem i angielskiem wojsku był dystyngowanym oficerem; pracował nad wydoskonaleniem wojska pan generał Komarzewski, myślał i sejm o tem, od marca 1767 traktament nam wyższy wyznaczając (tak że porcya dragońska teraz już 450 złotych wynosiła) — ale po tym pierwszym rozpędzie na tem się skończyło, że nam regulament nowy spisano, a cyfry króla Jegomości na kapeluszach i czaprakach nosić kazano. I nie mogło się lepiej skończyć, bo ledwie o amelioracyę armi troskać się zaczęto a już przypadły one nieszczęsne rozruchy, bunty i konfederacye, za któremi też i zguba rychło nadeszła...

A co zaś najbardziej i najdłużej mnie gorszyło, to owa prawdziwa postać rzeczy w Polsce, tak bardzo różna od tej, jaką sobie imaginowałem, na obczyźnie jeszcze będąc. Pacholęciem prawie jeszcze kraj mój opuściwszy, a Polski długo nie znając prawie wcale, choć Polakiem byłem, w tęskności mojej ku rodzinnej ziemi tak ją sobie miłą a wdzięczną a zacną i błogosławioną wystawiałem, jak to powiadają: na trzy zbytki ją sobie w duszy i sercu cukrując, że kiedy nareszcie Bóg ujrzeć mi ją dał i służyć jej pozwolił, długo a długo z tą dyfferencyą między moją imaginacyą a prawdą aktualną pogodzić mi się ani sposobu było. To też rzadko jakowa sentencya tak rzetelną a trafną mi się zdała, jak owe słowa księcia Sułkowskiego, posła niegdy przy dworze francuzkim który zwykł był mawiać: *Sarmatorum virtus veluti extra ipsos.*

Czy to już zawsze tak było, czy się dopiero za moich czasów popsowało, dość że istotnie one słynne wszystkie cnoty sarmackie nie w Sarmatach, ale gdzieś po za nimi, w czczej famie jakoby w powietrzu wisiały... Mówiono, że Polska bogobojną była zawsze, a przecie napatrzyłem się i duchowieństwa złego i farmazoństwa u świeckich aż ku zgorszeniu; mawiono że wierność małżeńska świętością w niej była zawsze, a owo zepsucia, rozwodów, a szpetnej rozwiązłości obyczajów za moich czasów bywało do syta; sławiono animusz rycerski i mężne dusze polskie, a oto świadkiem mi być przyszło, jak kraj bez jednego strzału a bez dobycia szabli ze wszystkich stron sromotnie obcięto, wielbiono równość i zacność szlacheckiego stanu, a tymczasem już w onych nieszczęsnych czasach za grosz jej nie było.

Szlachta mojego czasu w większości swojej tak zatraciła była tradycyę zacności swej i równości obywatelskiej, że owo, bez przesady to

rzec można, tłuszczą bywała na zawołanie magnata, rozkazowi jego powolna, choćby to było i ze szwankiem czci szlacheckiej i szkodą kraju. Bywał szlachcic równy wojewodzie, to prawda, ale wedle konstytucyi tylko, w sermonach sejmikowych, i w gębie pańskiej, bo kiedy magnat kresek lub szabel potrzebował, rokosz chciał podnieść przeciw królowi lub burdę wyprawić, tedy mu szlachcic mały, szaraczek a choćby i chodaczek, był miłym panem bratem. A nie dziwię się już prawie, że ku temu przyszło, bo jak mogła ostać się ta równość, kiedy nad nią prawo nie czuwało, i kiedy kto był mocniejszy, ten i racyę miewał?... Nie raz i nie dwa razy widziałem, jak zasługa prawdziwa i cnota obywatelska w kąt pójść musiała przed protekcyą a wpływami fortuny i władzy — tak że w końcu na to wyszło, iż kto z serca rad był przysłużyć się Rzeczypospolitej i zdolności miał ku temu, nie mógł, a kto mógł, ten albo nie chciał, albo co za jedno stało, nie umiał.

Był u nas jeszcze element niepopsuty a zacny w wszelkich stanach, trafiały się i zdatności niepoślednie, ale marnie to poszło, bo co było przemożne albo zuchwałe, to prym brało przed zasługą. A że my Polacy takowy już mamy charakter, iż fantazyę i ambicyę naszą osobistą nie zawsze sakryfikować umiemy, i że postpozycya każda do mściwej buty a do niesforności nas wiedzie, więc co się temu dziwić, że ci co mogli być podporą kraju, na zgubę mu nieraz wychodzili. Ale bo też siła to najcierpliwszego a najskromniejszego człowieka kosztuje, przenieść krzywdę i postpozycyą niesłuszną, i wielki to już tryumf nad krnąbrnością wrodzoną serca, aby się na to zrezygnować. Doświadczyłem ja tego sam, i wiem, co mnie to kosztowało, i jakiej to żołnierskiej karności wyciągało z mojej strony, nim człowiek do tego przyszedł, że bunt wewnętrzny pokonał, i żal przemógłszy, zęby ścisnąwszy, do posłuchu się zmusił.

Wszczęły się, jak powiedziałem, one nieszczęśliwości w Polsce na dobre, ku okrutnemu końcowi ją wiodąc. Hajdamactwo srogie nie skończyło się jeszcze, choć krew się potokami polała z egzekucyj czynionych na onem chłopskiem łotrostwie. Miałem ja z tego powodu siła trudu i kłopotu na moim garnizonie lwowskim, bo nietylko chorągiew kawałkować musiałem, śląc oddziały na eskortę pojmanych zbójców, ale i we Lwowie rady sobie dać było nie można z wartowaniem spędzanego hultajstwa. A trzeba wiedzieć, że choć moc wielką co winniejszych hajdamaków zabijano na miejscu, srodze i okrutnie karząc to na pal wbijaniem, to ćwiartowaniem, to zdejmowaniem głowy — to daleko większą ilość popospolitszej tłuszczy rozsyłano pod strażą żołnierską po rozmaitych miastach.

Napatrzyłem się wtedy całej straszliwości nędzy a niedoli, a choć w grozie wojennej rzec mogę wychowałem się i wyrosłem, przecież nieraz serce truchlało na widok onej nieszczęsnej mizeryi, która choćby godziła w zbrodniarzy tylko ohydnych, przecież kommizeracyę w chrześciańskiej duszy budzić musi. Pan Branicki sam później siedmiuset ich od razu powiesić kazał jednym wałem, hersztów w to nie licząc, którzy inną powolną śmiercią ginęli — resztę, której życie darowano, pędzono na wszystkie strony. Wszczął się był w onym czasie handel ohydny a nikczemny, tak, iż pojmanych buntowników jak bydło niewiernym Turkom przedawano, nie bacząc na chrzest ich i na człowieczeństwo na obraz Boży stworzone...

Chwytali się takowego handlu łotrzykowie niektórzy, a mnie samemu, kiedym miał tych opryszków w mnogości wielkiej pod moją strażą, dawał jeden taki nikczemny handlarz dusz po 500 lewów tureckich za sztukę, chcąc ich Turkom odprzedać z wielkim zyskiem, bo Bisurman zawsze głodny niewolnika. Kazałem za taką niecną propozycyę która moje sumienie katolickie i mój honor oficerski obraziła, aresztować owego haniebnego łotrzyka, trzymać go przez tydzień wraz z hajdamakami w kałauzie, a ich nędzną, opłakaną strawą karmić, a potem oćwiczyć porządnie a na cztery wiatry wypędzić. Smakujże, kanalio, i ty zbójeckiego chleba boś innego nie wart, skoro bliźnim twym szpetny handel czynić się nie wzdragasz!

Miałem tych pojmanych złoczyńców kilkaset we Lwowie pod strażą mojej chorągwi, a moi dragoni nigdy wstrętniejszej a trudniejszej służby pono nie pełnili, jak w on czas. A do tego przyszło jeszcze i to, że dawni panowie tych pojmanych chłopów reklamacye o nich czynili, jako iż z ich włości zbiegli, co znowu kłopotem było niemałym. W końcu rozsądniej jakoś tymi potępieńcami rozrządzono, po znaczniejszych miastach ich porozdzielawszy. Używano ich do robót rozmaitych, jak np. w fortecy kamienieckiej, a we

Lwowie pan generał Korytowski przy budowie swej nowej kamienicy ich zatrudniał.

W tychże samych czasach, jak już wspominałem, zaczęto myśleć o naprawie wojska i lepszem jego ćwiczeniu, i był też plan taki, aby wszystko wojsko komputowe wraz z Hussaryą i Pancernymi na partye podzielić, a to na partyę: Małopolską, Wielkopolską, Ukraińską i Podolską, i aby obozami a nie po kwaterach je ćwiczyć. Do każdej partyi takiej dodany miał być jeden szwadron dragonii, aby ten żołnierz już dobrze wedle autoramentu cudzoziemskiego wyćwiczony, komputowemu za eksercyrmajstra służył. Planu tego w całości nigdy nie przywiedziono do skutku, ale po cząstce i nieładem, tak iż taki oficer, co chciał na prawdę coś zrobić, kłopotu się tylko najadł, a niekiedy i despektu, nic nie wskórawszy. Owoż i we Lwowie miał się zebrać takowy większy oddział ku militarnemu ćwiczeniu i ku gotowości w tym czasie wszczynających się niepokojów. Miało się tu ściągnąć, co było jakiej komputowej kawaleryi w pobliżu na kwaterach, a dragonia moja miała być ową szkołą, w którejby się żołnierz polskiego autoramentu poduczył sztuki wojennej, i owym klejem, którby jako tako trzymał w kupie rozmaite garstki tego mizernego wojska.

Chociaż w życiu mem całem, a już najbardziej w zawodzie żołnierskim wolen byłem od grzechu pychy i wielkiego o sobie rozumienia, toć przecie ambicya zacna a uczciwa u mnie była, i tej sromać się nie potrzebowałem i nie potrzebuję, albowiem takowa godziwa ambicya macierzą jest czynów mężnych i kawalerskich, a jeśli kto ją mieć winien, to któż jak nie żołnierz? bo chociaż chrześciańskiemu rycerzowi pokora także nadobnie przystoi, to jednak zawodu jego honor a pragnienie czynów znakomitych głównym są fundamentem. Własnych zdatności i własnych zasług miałem także świadomość, i to jest także uczciwą a konieczną kondycyą każdego oficera, bo nie mając ufności i wiary w siebie samego, jakby innym dowodził a w ciężkich potrzebach i nagłych przygodach, kiedy na deliberacyę czasu nie ma, skutecznie sobie poczynał.

Owoż nikt mi tego za złe mieć nie mógł i nie może, żem miał nadzieję a nietylko nadzieję, ale i pretensyę, że mnie przy takiej kreacyi partyj mięszanych uczynią komendantem, i że nią dowodzić będę chociaż *subalterne*, ale zawsze w obrębie regulamentów niezawiśle. Jakoż utwierdzali mnie w tych widokach moi kamraci i przyjaciele a nawet i sam pan generał Korytowski, który skoro owo formowanie partyj zadecydowanem było, przywoławszy mnie, tak mi powiedział:

— Mości panie rotmistrzu, nabiedowałeś się tu na tym mizernym garnizonie, to pewnie zmiana przyjemną ci będzie, wprawdzie i tu cię czeka, a może i cięższa jeszcze praca, ale milszą ci ona będzie, bo korzystniej i na szerszej widowni trudzić się będziesz, a ojczyźnie to dasz, czego jej pono najbardziej zbywa, to jest garść wojska dobrze ćwiczonego. Sciągną się tu komputowcy i trochę kawaleryi polskiego autoramentu, zrobim partyę z tego, a Waćpan weźmiesz komendę. Jużem cię na to stanowisko forsztelował, bo jeźli ty, mości rotmistrzu, z tej zbieraniny żołnierza nie wykrzeszesz, to już nie wiem, ktoby tu inny w to ugodził.

Podziękowałem panu Korytowskiemu za łaskawą opinię i wzgląd na mnie, bo chociaż owa komenda ani żadnej augmentacyi mego kapitańskiego traktamentu, ani żadnego prawdziwego podwyższenia rangi nie dawała, to przecież w ambicyi mojej żołnierskiej rad byłem, że się dla mnie pole do popisu otworzy. Pokazało się tymczasem, żem się zawcześnie cieszył, a o tem nie pamiętał, że w polskiej armii niejedno było łatwe, coby w innej zdarzyć się nie mogło nigdy. Jakoż obaczycie, przez co przeszedłem.

Zaczęło się powoli sciągać do Lwowa trochę komputowców, trochę milicyi polskiego autoramentu, trochę hussaryi, ale nie towarzystwa, jeno pocztów, a z wojskowej komisyi nominacya na onego szefa jak nie nadchodziła tak nie nadchodziła. Biegało to po mieście, do wszystkiego raczej podobne, niźli do porządnego żołnierza, wyrabiało tumulty, brzękało pałaszami, czupryną i miną bardzo marsowo i po junacku się nadstawiając — a aby się nie nudzili, to panowie komputowcy szukali okazyi z moimi dragonami, bo trzeba wiedzieć, że między oboma autoramentami bywała zawsze jakowaś głupia animozya.

Owoż razu jednego szedłem właśnie przez rynek, kiedy widzę z daleka, że przy odwachu kupa ludzi stoi, a ktoś głośno krzyczy i z wartą się certuje. Odwach trzymali dnia tego dragoni z mojej chorągwi, z tem większą tedy ciekawością pospieszam, aby się przekonać, coby to był za tumult. Gdym się zbliżył, ujrzałem jakiegoś młokosa, łającego butnie unteroficera, co

na odwachu miał komendę. Młodzieniaszek ten, któremu się jeszcze nawet wąsik nie wysypał pod nosem, ubrany był w czarną burkę fabryki krymskiej, błękitnym atłasem podbitą, sowicie złotemi sznurami burtowaną, i karmazynowy kontusik bogaty, a szablę miał na złocistych rapciach, poczem zaraz poznałem że to towarzysz pancernego znaku. Strasznie się sierdził i gniewał, aż mu gładka twarzyczka krwią nabiegła — ale choć marsa sobie dodawał, bardziej na studenta niż na żołnierza patrzył.

Przystępuję bliżej i pytam unteroficera, co zaszło?

— Mości rotmistrzu — mówi unteroficer — owo ten pan.... — i tu przerwać musiał, bo ów młody kawaler mnie ujrzawszy, zwrócił się zaraz ku mnie i zawołał:

— To Waćpan jesteś rotmistrzem tych ludzi.

— Do usług Waszmości — odpowiadam.

— Jeźli tak, to Waćpan powinien ich nauczyć, aby kiedy starszyzna idzie, warta przed nią broń skwerowała!

Że te słowa wyrzekł tonem ostrym i krzykliwym, więc mnie to zniecierpliwiło, i odpowiedziałem:

— Już ja ich wszystkiego nauczę, czego im wiedzieć potrzeba, ale naucz że się i Waćpan mówić trochę ciszej, a dalej naucz i mnie także, jaką starszyznę tu srogi dyshonor spotkał?

— Jak to, nie widzisz Waćpan? mnie to spotkało! — odpowiedział młodzieniec.

Dziękuję Waćpanu za informacyę — odpowiadam — ale naucz że mnie Waćpan dalej, czemeś Waćpan starszy, bo że nie wiekiem, to już sam widzę.

— Jestem Ostrowiecki, chorąży pancernego znaku, nie widzisz tego Waszmość? — ozwał się młodzieniaszek, wskazując na burkę swoją bogato szamerowaną.

— Ja widzę tylko dużo złotych sznurów a pięknych burtów — odpowiadam — ale nie widzę felcechu, ani też sobie mam Waćpana za oficera abym mu miał honory wojskowe okazywać. Każdy szlachcic szablę nosi, a jak mu stać, złotych sznurów nasadzi, ale nie racya ztąd, aby mu na hauptwachu broń skwerować!

Trzeba zaś wiedzieć, że żołnierz na straży stojący, tylko oficerom honor wojskowy oddawał, broń przed nimi skwerując, a za oficera tego miał tylko uważać, kto przy gifesie miał złoty temblak czyli felcech i szarfę przy pendencie. Takich zaś dystynkcyj zewnętrznych tylko oficerowie autoramentu cudzoziemskiego używali.

Słowa moje wprawiły młodego towarzysza jeszcze w większy ferwor, więc z alteracyą mówi do mnie:

— Wiedzże Waćpan, mój ty panie rotmistrzu, że każdy dragon znać winien respekt przed towarzyszem, choćby się zwał kapitanem, o czem Waćpana, Mości autoramentowy, przekonam doskonale, skoro nad wami komendę wezwę!

— Wiedzże o tem, mój ty panie towarzyszu — odpowiem mu na to — że jeśli Waćpan natychmiast nie ustąpisz i swoją drogą nie pójdziesz, to nim jeszcze komendę odbierzesz pod areszt cię wziąść każę.

Widząc z mojej miny, że nie żartem mówię, młody panicz szybko odszedł, wzrok na mnie tylko gniewny rzuciwszy, na co ja spokojnym uśmiechem odpowiedziałem.

Opowiadam to drobne zajście dla tego, że to nie ostatni był wypadek, w którym z tym młodym Ostrowieckim, towarzyszem i kasztelanicem, bo rodzic jego kasztelanem był i możnym bardzo magnatem, znaleźć miałem przykrą okazyę. Nie minęło dni kilka od tej sceny, kiedy pan generał Korytowski przywołał mnie do siebie. Zastałem generała bardzo zafrasowanego a nawet gniewnego a kiedy mnie ujrzał, podbiegł ku mnie z zakłopotaniem na twarzy, i rzekł:

— Panie Narwoj, dowiesz się rzeczy niesłychanej i przykrej, ale wierzaj mi, że nowina ta dla mnie może jeszcze bardziej niemiłą jest niż dla ciebie. Panie rotmistrzu, proszę z góry, nie chciej sobie brać tego do serca; oponować się będziem przeciw temu.

— Mości generale — odpowiadam na to zdziwiony trochę ale z rezygnacyą, mów śmiało; niejedną już gorzkość połknąłem, może i tę strawię.

— Imaginujże sobie Waćpan — mówi pan generał — dostałem pocztę przez kuryera warszawskiego; oto patrz Waćpan, kasztelanic Ostrowiecki, młokos dwudziestoletni, został komendantem partyi, do której Waćpana chorągiew należy. A to zaprawdę rzecz trochę zagruba, aby z krzywdą zasłużonych oficerów robić smarkacza komandyerem całej partyi, a więc *subalterne* regimentarzem! Co Waćpan na to?

Otwarcie tu wyznać muszę, że mi na takie *dictum acerbum* nie stało już krwi zimnej i determinacyi. Nigdybym się był sam nie spodziewał,

aby wiadomość ta na mnie sprawiła tak wielką a przykrą impressyę. Takowa nominacya wydała mi się srogim despektem i krzywdą prawdziwą — więc i gniew wielki i żal serce mi ścisnęły. Nie mogłem przyjść do słowa i nic nie odpowiedziałem. Patrzył na mnie z przyjaźnem współczuciem pan generał, a po chwili takiego milczenia zawołał:

— Waćpan snać nie znasz jeszcze naszej mizeryi, to cię ta wiadomość i gniewa i dziwi, a mnie zaś tylko gniewa a nie dziwi. Kto tam u nas komendy rozdaje, tego ja już nie wiem. Król sobie, komisya wojska sobie, hetman sobie, a pan Branicki sobie. Ale tego gaszka to już nie wiem kto mianował; pisano mu pewnie patent na babskiej gotowalni! Bądźże spokojny, panie Narwój, a wytrwaj dni parę, już ja temu łeb skręcę i krzywdy twojej nie dopuszczę.

Pan generał dużo jeszcze mówił, ale ja przez cały czas i słówka nie wyrzekłem. Tak ciężko uczułem ten despekt i w takiej byłem alteracyi, że usta otworzyć się bałem, aby nie wybuchnąć jakim gwałtownem słowem i subordynacyi wojskowej nie uchybić. Nauczyłem się tego jeszcze w wojsku króla pruskiego, milczeć w takiej okazyi, a passyą stłumić, choćby żółć pękła. Dla biednego żołnierza jedyne jest to *remedium*, jedyny protest przeciw starszyznie. Niech ci się serce pada od żałości, ty milcz; niech ci gwałtowność afektu pierś dławi, ty milcz; niech się w tobie gotuje a wre jak w piekielnym kotle, ty milcz nieboże!

Nie usłyszał mojego głosu pan generał Korytowski; wyszedłem, w milczeniu salutując, ale takiej ciężkiej godziny nie chciałbym mieć drugiej w życiu. Kiedy przyszedłem na kwaterę, chodziłem jakby struty frasunkiem a żalem. Masz tobie żołnierkę i dobrą aplikacyę; dosłużyłeś się, bracie, nagrody pięknej; chciało ci się koniecznie służyć ojczyźnie, smakujże teraz tych rozkoszy! Myślałem tak nad sobą i nad tem upośledzeniem mojem, i biłem się z myślami, co mi w takiej alternatywie przykrej zrobić wypada?

Na drugi dzień zaraz, nie wiem jaką drogą, rozbiegła się wieść o tej nowej nominacyi po całym lwowskim garnizonie. Przybiegli do mnie moi oficerowie, a najpierwszy Zawejda, który jako iż niepoprawny był w swojej fantazyi a krzykactwie bezmiernym, za wszystkich rezonował, perorował, odgrażał się i wyzywał.

— Mości rotmistrzu! — wołał — a to herezya, a to infamia, gwałt i *horrendum* okrutne, jakem Zacharyasz Łada Zawejda! Rotmistrzu, za hetkę pętelkę cię mieć będę, jak ty to po sobie puścisz, a honoru swego choćby krwią a tumultem dochodzić nie będziesz!

Wpadli mi chórem i inni oficerowie, i nuż deliberować a narzekać, mnie tem nie konsolując, a żalowi i gniewnym moim affektom nowego tylko przydając alimentu. Milczę tedy tylko i słucham, alteracyę w sobie tłumiąc jak mogę. Krzyczeli wszyscy, ale Zawejda najgłośniej, ciągle nowe jakieś propozycye stawiając mnie i oficerom:

— Panowie bracia i mili sercu memu kamradowie! — wołał — dzieje się krzywda śmiertelna nam oficeryi gwardyi konnej króla Jegomości; na krygsrecht pójdę, w ręce stępki się oddam, ale się nie dam i kwita. Panowie bracia i mili kamradowie, co wy na taką lezyę honoru naszego począć myślicie? Jabym nie radził deliberować długo, ale poprostu taką stawiam mocyę: w werbel uderzyć, komputowców wyrąbać, z miasta wyrzucić i we Lwowie *statum* oblężenia ogłosić!

— Ale Zawejda! Zawejda — wołają oficerowie, mitygując ferwor jego.

— Jeźli na to niezgoda, ponowie oficerya, to mam plantę inną, posłuchajcie. Opiszmy się, omanifestujmy się, otrąbmy się i zawiążmy konfederacyę!

— Ale Zawejda! Zawejda! — mówią mu znowu towarzysze.

— Kiedy i to się nie podoba — wołał dalej Zawejda, nie dając się skonsternować — to wam powiem co zrobicie. Zamek obsadźmy, okopmy się, Narwój niech weźmie jurysdykcyę i wyszlijmy deputacyę do króla Jegomości. Ja się nigdy od służby *pro publico bono* nie wymawiam: owoż jeśli wola, mnie posłem do Warszawy delegujcie, a ja się z królem Jegomością, Bóg da, łatwo porozumiem!

Za dużo mi było tej gadaniny niedorzecznej, a bałem się nawet, aby Zawejda na prawdę głupstwa jakiego na własną rękę nie wypłatał, i całej chorągwi na szwank nie naraził, więc w końcu ostro wsiędę na niego:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KAPITAN PROFESOR.

(Obrazek z wspomnień szkólnych).

Niech tam, co chcą, mówią wszyscy filozofowie, ja jednak powiem, że młodość jest najpiękniejszą kartą z całej księgi ludzkiego żywota. Ale nie ta młodość broń Boże gdy człowiek tylko jeść, spać i płakać umie: — nie — ja tu chcę mówić o tem czasie nauki, gdy to patrzy się na świat różowo, gdzie swobodny umysł chłopaka, co lekcyi się wyuczył, drwi sobie z całego świata, bo nie obchodzą go troski rodziców, nie straszy głód i niedostatek, żadne nieszczęście nie zapuszcza się głębiej do duszy — wszystko przechodzi niepostrzeżenie i znika tak szybko, jak drobne marszczki na czystym wód krysztale. Dla tego też może owe lata najgłębiej sadowią się w naszej pamięci, dla tego zawsze ich wspomnienie odświeża umysł już myślącego poważnie człowieka i nęci ku sobie jakąś serdeczną błogością nawet starca stojącego nad grobem.

Wszystko choć najdrobniejsze odcienia z tego wieku stoją żywo przed duszą, gdy zechcemy poruszyć ową bogatą minę przeszłości, każden rys twarzy profesorów i współkolegów, tak świeżo i jasno staje przed naszą wyobraźnią, jak byśmy przed chwilą dopiero na nich patrzeli: — głos zdaje się brzmieć w uszach z całą mocą i dźwiękiem choć to panie obejrzawszy się za siebie, jak obszył, czterdzieści lat zleciało. Tak, tak, najtrwalsze to wspomnienia! Nawet owe przykrości i nieszczęścia studenckie, tak błache dzisiaj w swem znaczeniu, rodzą i teraz pewną bojaźń; dawna niechęć ku profesorom, choć na ówczesnem pojęciu oparta, nie da się jakoś prędko wyrugować, nie z serca już, lecz z pamięci naszej.

Czterdzieści to lat pono, a jeszcze ciarki przechodzą po skórze, gdy człek wspomni srogiego Masłowskiego, profesora łaciny, kiedy sztywny, ponury, w białej chustce, z ogromnemi kołnierzami, wchodził do klasy, szukając oczyma, kogo ma wyrwać do lekcyi. Jakże to biło serce, gdy wyrwał z litery *D* tak blizkiej *K*, a zwłaszcza, gdy konjugacye nie najlepiej siedziały w pamięci. Niezawodna piątka czekała za piecem, i jaka jeszcze? bo sam profesor nie żałował ręki, trzymając się owej starej zasady:

„Różdżka popędza rozumu do głowy,
Uczy łaciny, a broni złej mowy.”

Nieubłagany jak Brutus, zimny jak marmur, nie słyszał błagań, nie widział łez, nie czuł najmniejszej litości — a rżnął piątkę za piątką nie mrugnąwszy okiem, ot tak sobie zwyczajnie, jakby najlepsze śniadanie zajadał. Czasem, gdy który nazbyt natrętnie narzucał się prośbami, wyrzekał powoli bez uniesienia pamiętne słowa, „choćbyś tylemi łzami płakał” — mówił pokazując łokieć na ręce, — choćby twój rodzony ojciec z grobu powstał, nie daruję!”

Lecz za to jeografia, panie, jeografia, wynagradzała łacinę. Pan Solecki, kapitan profesor, (bo go wszyscy tak nazywali), miał się do niego, jak niebo do ziemi. Choć to ze krwi już powinien być srogi, jako nieustraszony wojak, jednakże wcale inaczej rzecz się miała: poczciwy za dwóch, łagodny, choć do rany przyłóż, słodki jak cukier, miękki jak bawełna, zdawał się być więcej ojcem, niż zwierzchnikiem. Niezbyt wysoki, dobrej tuszy, z twarzą opaloną i z lasem faworytów po obu policzkach, trzymał się zawsze prosto, składnie, szedł śmiało z głową do góry podniesioną i podpartą dobrze szerokim półkoszulkiem; wiecznie uśmiechnięty, lubiał przedewszystkiem zgrabne ruchy, zwinność, śmiałość; każdego ucznia nim zaczął lekcyę, sam prostował, układał na sposób wojskowy i przestrzegał, by wyprostowaną postawę ciągle zachowywał.

Po skończonej kampanii 1813 r. wyleczony z ran, gdy okazał się niezdatnym do dalszej służby wojskowej, za staraniem przyjaciół, otrzymał miejsce profesora jeografii w ówczesnej szkole pińczowskiej. Ksiądz rektor, instalując nowo przybyłego, zalecił największe uszanowanie i posłuszeństwo dla niego, dodając, że to wojskowa sztuka, trzeba mu się dobrze uczyć

nie swawolić, bo srogo karać będzie. Lecz wkrótce okazała się zawczesną ta przestroga, — pan kapitan Solecki, a z musu profesor, od razu łagodnie zaczął z nami postępować, — chłopcy powoli oswoili się z jego marsowatą twarzą, poznali wrodzoną mu słabość do mustry i w miarę tego, z zadziwiającą przebiegłością umieli sobie zjednać profesora. Gdy wchodził do klasy, pięćdziesiąt rąk prezentowało przed nim linie na znak uszanowania, — pięćdziesiąt piskliwych głosików krzyknęło: hura! — a pan Solecki uśmiechał się zadowolony i brał się z przyzwyczajenia za wąsy, choć już od dawna musiał je zgolić. Z tego już można sobie wyobrazić, jak to tam szła jeografia bo pan Solecki znając najlepiej miejsca batalii Napoleońskich, zaczął naukę od kampanii włoskiej, przeszedł do Egiptu, choć wykład Afryki do naszej klasy nie należał, następnie przebiegł Prusy i Austryą, a w końcu zapoznał nas z całą linią pochodu wojsk francuzkich w r. 1812 od Paryża do samej Moskwy. Wagram, Austerlic, Jena, Marengo i t. d. były u niego pierwsze — Berlin, Wiedeń, to podrzędne miasta. Przy wykładzie lekcyi rozpowiadał zaraz o bataliach, rysował na tablicy stanowiska armii, strzelał kropkami z kredy, bombardował, palił, przypuszczał szturm do fortec z taką żywością, że aż nam zimno robiło się na sercu, słysząc ten huk, brzęk, szczęk, jęk, który z całą gwałtownością wydobywał się z piersi szanownego profesora.

Ale powoli, powoli, zachartowały się dusze, umysł oswoił się z wojną, tak że pod zimę już wszyscy mogliśmy śmiało rezonować o każdem poruszeniu wojska i kontrolować plany najlepszych wodzów. Zbytecznem byłoby nadmieniać, że często gęsto pokazał się i kapitan Solecki na scenie, że jeszcze częściej wydarło się profesorowi ciężkie westchnienie na niesprawiedliwość losu, który go zmusił do bakalarki, przecinając ową nić awansów, wyciągniętą w jego umyśle do nieskończoności.

Trafiło się raz, że wyzwawszy mnie szanowny kapitan do lekcyi, nieznacznie ze Szwecyi zeszedł na artyleryę. Moje uwagi trafne, co do rzucania granatów, tak dalece zwróciły jego uwagę, iż odezwał się z uniesieniem:

— Ty Kostecki, jak widzę nieźlebyś dowodził artyleryą; oko jest, rozum nielada, tylko trzebaby nauki, a mianowicie obrotów.

— O! proszę pana profesora, ja mam wielką ochotę do wojska, rąbałbym się dzień cały, lecz nie ma kto wyuczyć.

— Słuchaj — mówił po chwili namysłu pan Solecki, przynieśno linijkę dobrą na przyszłą lekcyę, to ja ci pokażę główne cięcia.

Więcej nie było trzeba dla nas, co to nie minęliśmy żadnej sposobności, aby uwolnić się od lekcyi, to też na drugi dzień, zamiast jednej, trzydzieści było linii, jeografia poszła na bok, a miejsce jej zajęła mustra. — Oh, pamiętam, szastaliśmy nogami, wywijali improwizowaną szablą tak śmiało, że niejeden z guzem potężnym powrócił do domu.

Tymczasem ksiądz rektor dowiedział się o naszej nauce, zgromił sekretnie pana profesora, wskutek tej perory posmutniał kapitan, a my z nim i znowu wrócił dawny porządek jeograficzny, zaczynając od Marengo.

Krucho było z nami, profesor jak skała, nie dał się zmiękczyć niczem: ani Lipsk już wpływu na niego nie wywierał i tylko czasem, gdy wchodził do klasy poważnie, a spostrzeże, trzymaną linię przy prezentacyi, wyrzeknie z udaną flegmą, hamując uniesienie:

— Franuś! prościej rękę — Lipski do góry! Ślaski, nie garb się! — i na tem koniec; dalej ani rusz.

Upłynął tym sposobem miesiąc, kończył się już i drugi — nastała zima, a pan profesor, ani pomyśli o mustrze, głuchy na pokusy, dyktuje, egzaminuje, i przy każdej wzmiance o wojnie, spogląda z trwogą na drzwi, czy go rektor nie słyszy.

Ciężko to było jakoś chłopcom, że minęły tak błogie chwile zabawy, suszyli płodne w figle mózgownice nad sposobem wzruszenia profesora, lecz nic skutecznego wynaleźć nie mogli. Mnie to może najbardziej zajmowało, bo jakoś żal mi było owej rozkosznej mustry, która mi się więcej podobała, niż wyliczanie kilkudziesięciu księztw niemieckich, od którego język łamał się tak, jak źle zachartowane żelazo, gdy go zanadto zgiąć usiłujemy.

Pamiętam dobrze, było to w sobotę, jeografia przypadała na ostatnią godzinę po południu, a mieliśmy na lekcyę, jak raz o Saksonii. Wybiła 3 godzina, skończyła się arytmetyka i wszedł jak zwykle pan Solecki z tabakierką w jednej ręce, z chustką czerwoną zarzuconą przez drugą rękę i małą laseczką czarno pomalowaną, służącą do pokazywania na mapie. Stanął w kate-

drze, poprawił włosy spadające z łysiny, i zapuścił wzrok po całej klasie, upatrując kogoby wyrwać. Ja mając ułożony zamiar i chcąc zwrócić jego uwagę, kryłem się trwożliwie za plecy kolegi, okazując pewien niepokój, i żarliwie czytałem z kajetu, kiwając się jak żyd nad talmudem.

Dostrzegł to pan profesor, uśmiechnął się radośnie, zacierając ręce i spoglądając po wszystkich, mówił powoli:

— Powie mi, powie mi... Kostecki!— kończył od niechcenia.

Wystąpiłem na środek, ukłoniłem się nieśmiało i czekałem pytania.

— Co mamy dziś na lekcyę?

— O Saksonii — odpowiedziałem.

— Wyrysuj mapę i pokaż wszystkie miasta.

Porwałem kredę, starłem tablicę i w kilku śmiałych rysach nakreśliłem Saksonię; potem chrząknąwszy mocno, cieniutkim dyszkantem od granic, rozległości, ludności, klimatu, płodów; przeszedłem na Drezno, a potem na Lipsk.— Lipsk—mówię—miasto handlowe, liczy trzydzieści księgarń, leży nad Elbą, pamiętne w dziejach świata olbrzymią bitwą, stoczoną 1813 r., gdzie tysiące armat siejąc śmierć i trwogę huczało przez trzy dni i trzy noce, gdzie.... — stanąłem.

— Gdzie co?—pytał zainteresowany profesor.

— Gdzie pan Solecki, kapitan artyleryi, dokazując w rejteradzie cudów waleczności, padł przeszyty czternastu kulami...!

— Fałsz malcze! kto ci o tem powiedział! — wrzasnął zaiskrzony profesor.

— Historya o tem mówi, historya tradycyi, a co krzyż legii honorowej na jego piersiach błyszczący dowodzi — wyrzekłem poważnie, wskazując na wstążeczkę zaczepioną w dziurce fraka szanownego profesora.

— Przesadzasz malcze, przesadzasz, zkąd ci się wzięło 14; było ich w samej rzeczy cztery.

— Mniejsza o to — odrzekłem, jakby lekcyę kontynując, dość, że waleczny kapitan upadł krwią zbroczony na wielką szkodę armii i jego, bo gdyby nie te rany i konieczność przeleżenia roku jednego w szpitalu, — dziś byłby jenerałem, albo marszałkiem, i kto wie, jakiby obrót wzięła bitwa pod Waterloo?

— Co ci się wyroiło, mój kochany Kostecki! kto ci to powiedział? bo niepodobna, abyś to z siebie mówił, nie podobna to nad wiek! — i stary profesor pokiwał głową z uśmiechem zadowolenia.

— Proszę pana kapitana, ja to z siebie mówię, jak mamę kocham z siebie, i pewno się nie mylę....

— Ależ mój drogi—przerwał widocznie wzruszony profesor, — zkąd ty wnosisz, że jabym został marszałkiem?

— Bo kto potrafił tak dzielnie uformować carébatalion w rejteradzie i dotrzeć z nim do samego mostu, ten potrafiłby także całą armię zmienić w caré (czworobok).

— No, no, i — mówił do siebie profesor, kiwając głową — djabli wiedzą, możeby i tak było, żeby nie ten most na Elsterze, żeby nie ten most.... no, no, a kto wie, wszak Murat, syn oberżysty...

— A pod Smoleńskiem — odezwał się Lipski — komu sam cesarz krzyż przypiął?

— A pod Berezyną? — dorzucił Kowalski.

— Dość, dość moi kochani — powtarzał pan Solecki zamyślony — dość tych pochwał, starsi nie ocenili..., co było, to nie jest! Dawniej się komenderowało, wojowało, a dziś, — człek wegietuje i jak.... a szkoda, szkoda.... możeby i pułkownikowskie szlify świeciły tu— mówił wskazując tabakierką na ramię — szkoda.... o marszałkowskie, ani dudu, lecz kroćset .... pułk bym uniósł przecie!

I poruszał głową, chodząc po klasie szybkim krokiem, czasem przystanął, wyprężył się jak struna, podniósł na palcach, myśl marszałkowska znać dobrze trafiła do serca, bo i tabaką siał po podłodze, i chustka tylko koniuszczkiem trzymała się na ręce, powiewając, jak chorągiew bojowa, i siwe kosmyki opadły z wierzchu głowy, formując szlify po ramionach, a pan profesor chodził coraz szybciej, coraz żywiej. Cisza zaległa salę, ja stojąc na środku, nie wiedziałem co dalej mówić, bo jakaś pomimowolna cześć owładnęła umysłami swawolników, że żaden z nas nie śmiał przerwać podobnych marzeń profesora. Nareszcie jeden odezwał się głośno:

— Kostecki! jakże to było pod Lipskiem?

— Widzisz, jak Sasi przeszli na stronę sprzymierzonych — mówiłem, zwracając mowę do pytającego — zaczęła się okropna i krwawa rejterada, pułkownik zginął, podpułkownik głowę stracił, a pan kapitan jak krzyknie: formuj kare!!!"

— Co to jest kare? — przerwał Stalski.

— Ot, robi się trójkąt....

— Bredzisz malcze! Tfu, kto widział tak mówić! — zawołał pan Solecki, który odbywając swój spacer po sali usłyszał ów wyraz „trójkąt." — Nie wiesz to — mówił coraz ży-

wiej, stawając przedemną i pukając tabakierką po ramieniu — nie wiesz to, że kare znaczy kwadrat!

— A jakże to się robi? — zapytał któryś z uczni.

— Po prostu komenderuje się w prawo, w lewo, formuj kare! i żołnierze zachodzą flankami w dwa szeregi, jedni naprzód, drudzy w tył, inni na prawo, inni na lewo, i tak maszerują, strzelając do nieprzyjaciela.

— Proszę pana profesora, to ci co są w środku, postrzelają tych z brzegu?

— Ale gdzież znowu? — odpowiedział, robiąc kwaśną minę Solecki — w środku przecież mieści się artylerya, sztab.

— Nie rozumiem, jak to być może?

— Och ciasna głowo! zaraz ci pokażę, niech no tu wyjdzie kilku na środek.

Lecz zamiast kilku, wybiegło kilkunastu skacząc przez wierzch ławek i z hałasem zeskakując na podłogę.

— Po co was tylu, dosyć czterech, a cicho psotniki! jeszcze rektor usłyszy i znowu bieda będzie.

— Proszę pana profesora, dziś sobota, ksiądz rektor zajęty tygodniową zapłatą.

— Ja widziałem, jak spać poszedł — mówił jeden.

— Podobno chory na rękę — krzyczał drugi.

— Ma zastępstwo w czwartej klasie na górze — odrzekł trzeci.

— No, no! dosyć tylko cicho przez Boga, pójdźcie już a nie przez ławki.

(Dokończenie nastąpi.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Ta ostatnia wiadomość była mi już poprzednio znana, — rzekł pułkownik. — Dziś właśnie doniósł mi brat o zamiarze swoim wysłania mego syna z Henrykiem do Włoch.

— I przystałeś na to?

— Cóż miałem zrobić? Jestem zupełnie zależny od sir Williama. Co się tyczy wyjazdu obu chłopców, cieszy mnie to raczej, niż smuci; ich nieobecność ułatwi nam owszem swobodę w ruchach... Doniesienie o tem wszystkiem masz zapewne od piastunki, jak się domyślam?...

Indyanin pokazał mu papier, który dopiero co otrzymał od Zary za pośrednictwem Sidelera.

— Czy możesz całkiem zaufać mamce?

— Powierzyłbym jej życie moje. Jej po-

święcenie dla mego szczęścia jest bez granic. Cała jej dążność w tem skupiona, by mnie ujrzała małżonkiem Elleny, i dla przyspieszenia tego związku naraziłaby swoje własne życie.

— To wielkie szczęście, że masz w tej chwili taką spólniczkę w Opactwie.

— Ale dla czego właśnie teraz?

— Bo nam może donieść, kiedy testament będzie zrobiony, i o której godzinie notaryusz wyjedzie z zamku Carrow.

Przez kilka sekund Miran i pułkownik patrzali na siebie w milczeniu; nie potrzebowali słów aby się nawzajem zrozumieć.

— Jakąż osiągnęlibyśmy korzyść z posiadania tego testamentu? — zapytał półgłosem Miran-Hafaz.

Korzyść niezmiernie ważną. Poznać zamiary nieprzyjaciela znaczy tyle, co zniweczyć je do połowy. Na przypadek swej śmierci, sir William może zostawić moją siostrzenicę pod opieką kanclerza, albo dać prawne pozwolenie na jej związek małżeński z Henrykiem Ashton. W jednym lub drugim razie musiałbyś wyrzec się wszelkiej nadziei posiadania jej.

— Tego się wyrzec? nigdy! za nic w świecie! Choćbym poszedł na dno przepaści, w głąb ziemi, nadzieja ta jeszcze by mnie wspierała; gdybym rozbił się na ostatecznych krańcach świata, ona byłaby dla mnie gwiazdą oświecającą moją drogę! Gotów jestem narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, przełamać wszelkie przeszkody. Prawa ludzkie nie mogą odstraszyć człowieka, który szydzi z praw Boga samego!... Mów, co najpierwej robić należy?

— Starać się o przejęcie testamentu, — rzekł kusiciel. — Z tym dokumentem w ręku naszem, gdyby przypadkiem brat mój umarł, (choć jeszcze nie przewiduję takiego nieszczęścia), zostałbym według prawa opiekunem Elleny, i miałbym władzę niezaprzeczalną rozrządzać jej ręką... Ale to tylko płonne przypuszczenie, — dodał niby obojętnie; — sir William bez wątpienia pożyje dosyć długo, doczeka się powrotu swego ulubieńca, który dzięki wziętości swego możnego łaskawcy i przyszłego teścia, otrzyma stopień dosyć wysoki aby mu pozwolił otwarcie wystąpić w charakterze starającego się o rękę córki jenerała de Vere.

Zimny pot występował kroplami na czoło młodzieńca indyjskiego; kolejno wzrok zwracał na pułkownika i na Willa Sideler, który siedząc na wezgłowiach ułożonych w kącie komnaty, przypatrywał się mu z uwagą. Pułkownik Mowbray wydawał mu się jak kusiciel rodu ludzkiego, a królikarz jak szatan mający wypełnić jego złośliwe natchnienia i namowy.

— Zostaw nas, — rzekł z wymuszoną spokojnością do pułkownika, — muszę sam rozmówić się z tym człowiekiem. Słowa które mu mam powiedzieć, nie mogą mieć świadka.

— Bez wymówki, kochany przyjacielu, — odrzekł sprzymierzeniec Mirana. — Nie mam bynajmniej chęci wkradać się w twoje zaufanie. Ten człowiek zaś jest mi także znany, i mogę ręczyć za jego wierność i odwagę, jak również zapewnię, że nie zdradzi powierzonej tajemnicy; możesz się więc spuścić na niego.

To powiedziawszy, wyszedł z komnaty, nucąc półgłosem ulubioną zwrotkę z najnowszej opery.

Miran i Will Sideler toczyli długą rozmowę przytłumionym głosem. Fizyognomia młodego Indyanina mogłaby malarzowi lub rzeźbiarzowi posłużyć za wzór szatana w chwili upadku; rozpacz i złe namiętności walczyły w jego sercu z uczuciami szlachetnemi do połowy już pokonanemi, które się jeszcze oprzeć zbrodni usiłowały. Rysy twarzy Willa, zdradzały przeciwnie tylko zwierzęcą radość na myśl wykonania raz przecie zamiarów zemsty oddawna knowanej.

— Spełnię to, — rzekł, — choćbym miał ujrzeć grób otwarty u stóp moich, albo oprawcę mającego mnie schwytać.

Miran wskazał mu spory worek z pieniędzmi na stole leżący.

— Weź to, jako zadatek moich przyrzeczeń! — rzekł.

Nędznik schwycił chciwie worek, zważył w ręku, jakby dla ocenienia ile się w nim może zawierać, i z wyrazem zadowolenia na twarzy wsunął go w głąb swej torby myśliwskiej.

— Co się tyczy testamentu, dodał Indyanin ze wstrętem, — którego nie zdołał ukryć, — Zara uwiadomi cię o dniu i godzinie.

Sideler poufale skinął głową na znak porozumienia.

— Co zaś do reszty... — Tu głos zamarł w gardle Mirana, nie mógł dalej mówić.

— Znajdę jedno i drugie, — rzekł królikarz, czując, że nie ma potrzeby jaśniej się tłumaczyć.

Will Sideler wyszedł z miną tryumfującą; dumny był z zaufania, jakie w nim pokładano; pyszny, że miał takiego spólnika. Ale gdy przechodził przez przedsionek marmurowy, wesołość jego znikła naraz, jakby mu kto wiadro wody wylał na głowę. Spotkał się z Khanem, którego chłodne i szydercze spojrzenie krew w nim zmroziło. Wzrok tego człowieka przejmował go trwogą.

— Domyślam się, — rzekł renegat, — że otrzymałeś nagrodę twej posługi. Miran-Hafas zwykł płacić.

— To prawda. — mruknął Will.

— Za usługi przeszłe i przyszłe, — dodał Khan.

— Zapewne sądzisz z własnego doświadczenia? — odparł łotr z miną zuchwałą i chełpliwą. zaczynając odzyskiwać odwagę.

— To być może!

— Bardzo dobrze! nie mam ochoty sprzeczać się z tobą. Twój pan polecił mi, abym ci powiedział, że masz mnie odprowadzić aż za bramę parku sir Jaspera, z obawy, żeby który ze służalców zobaczywszy mnie nieznanego tutaj, nie zechciał wypytywać kto jestem. Ale zapewne zbyt się wysoko cenisz, abyś zechciał iść z człowiekiem tak niepozornym i nędznym jak ja jestem?

Te słowa były wyrzeczone tonem tak naturalnym, całe zlecenie tak się wydawało prawdopodobnem, że Khan nie wachając się ani chwili, ani też podejrzewając jaki niegodziwy podstęp ze strony przybysza, skłonił się niezwłocznie do jego żądania.

— Chodź ze mną przez nowo założony, ogród, — powiedział. — Dzwoniono na objad, możemy być bezpieczni, że nie spotka nas nikt z tej strony domu.

Wyraz dzikiej radości zabłysnął w oczach królikarza, ale za chwilę znikł.

— Zdajesz się znać dobrze te okolice? — zapytał Khana.

— Znam wiele okolic i wiele rzeczy, — odrzekł sucho, — miałeś już tego dowód!

Sideler zadrżał na tę aluzyę o swej pierwszej zbrodni.

— Jeżeli myślisz mnie wybadać, — mówił dalej Khan przyspieszając kroku, pragnął bowiem coprędzej pozbyć się towarzystwa tego zbrodniarza; — jeżeli chciałbyś mnie wybadać, by poznać rozległość lub źródło wiadomości, jaką mam w wielu rzeczach, to się mocno omyliłeś. Nie jestem z liczby tych ludzi, którychbyś potrafił zgłębić lub oszukać. Dosyć, że cię znam, znam twoją przeszłość, twoje zamiary na przyszłość...

— Czy i te znasz istotnie?

— Tak jest; skończysz tak jak zacząłeś: zbrodnią!

Tymczasem doszli do tej części gaiku, gdzie drzewa najgęściej były zasadzone, a ztąd drożyna wązka wiodła w dolinę pustą. Will spojrzał szybko w około, jakby dla zapewnienia się, że go nikt nie zobaczy, że nikt nie stanie między nim a zamierzonym zamachem.

— A czy tak? — mruknął zaciskając zęby, i uderzając swojego przeciwnika po nad ucho sękatym kijem, który niósł w ręku; — przynajmniej nie będziesz świadkiem końca mojego zawodu!

Cios ten silnie wymierzony, byłby śmiertelnym dla Khana, gdyby grube zwoje turbanu nie osłabiły były tego zamachu, jednak zachwiał się i pochylił o drzewo. Sideler wnioskując ztąd, że go zupełnie ogłuszył, odrzucił na bok swój kij, i chwyciwszy za gardło swoją ofiarę, chciał uduszeniem dopełnić zabójstwa. Swojemi długiemi, kościstemi palcami ściskał mu szyję jak kleszczami żelaznemi, kolanem gniótł mu piersi dyszące pod tem ciśnieniem.

Napróżno Khan usiłował oswobodzić się z rąk napastnika. Chociaż był zwinny w młodości, usiłowania jego, aby odepchnąć zbójcę, były bezskuteczne; Will z dzikością wilka a wytrwałością ogara przyczepił się do niego.

— Szaleńcze! — szeptał mu do ucha, patrząc nań wzrokiem zwierzęcej srogości; — wiesz za wiele o Willu Sidelerze; lecz jego tajemnica wkrótce bezpieczną będzie... umarli nie wygadają nic! cha! cha!

Zbierając ostatki sił uciekających, Khan zrobił rozpaczliwe wysilenie, by się uwolnić od zabójczego uścisku. Na chwilę udało mu się wywrócić na wznak zbójcę, poczem oba potoczyli się na murawę, spleceni z sobą jak węże. Ale łotr nie przestawał cisnąć za gardło swojej ofiary.

— To daremne, — rzekł, — ja nie puszczam nigdy z rąk, co uchwycę.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy nagle oderwał ręce i padł na trawę z przeraźliwym jękiem. Khan wyprostował się z natężeniem,

i chwytając się jedną ręką poblizkiego drzewa, by się utrzymać na nogach, wyjął z za pasa długi nóż połyskujący, i stanął gotów drogo okupić swe życie.

— Nie lękaj się niczego! — zawołał głos silny i dźwięczny tuż obok niego. — Jesteś już teraz zupełnie bezpieczny! To szczęście, żem na czas przyszedł!

Renegat zadrżał, poznając Henryka Ashton, stojącego między nim a jego zabójcą, gotowego obronić jeszcze, gdyby nędznik odzyskując przytomność po uderzeniu w skroń odebranem, chciał powtórnie rozpocząć zamach.

— Toś ty! — szepnął, — czy to być może, abym tobie życie zawdzięczał?

— A komuż wolałbyś pan zawdzięczyć przysługę, którą panu oddałem? — odrzekł młodzieniec. — Jeżeli podszepty mojego serca są prawdziwie, jeżeli okoliczności i prawdopodobieństwa mnie mylą, wypłaciłem tylko dług, którym ci winien, oddając ci życie za życie!

— To prawda, — rzekł renegat, wyobrażając sobie w swojem pomięszaniu, że Henryk mówił to odnośnie do swojego pojedynku z Miranem; — to jest prawda!

— A więc przyznajesz, że jesteś moim ojcem? — zawołał nasz bochater, chwytając jego rękę z żywością.

Drżenie prawie spazmatyczne, z jakiem Khan przyjął to uściśnienie, prędzej jeszcze niż następna odpowiedź, rozproszyła złudzenie młodziana.

— Nie, Henryku Ashton, możesz dziękować Bogu, że ja nie jestem twoim ojcem. Znam okoliczności, które w tobie domysł ten obudziły; ale wierzaj mi, byłeś w błędzie. W chwili, kiedy ocalenie życia winienem twej odwadze i przytomności umysłu, serce moje nie zdołało by wymyśleć, ani moje usta wymówić podobnego kłamstwa dla oszukania cię... Czemuż nie jesteś moim synem! — dodał smutnie, — mój Boże! jakżembym cię miłował!

Henryk patrzał na niego z wyrazem niedowierzania.

— Czy wątpisz jeszcze? Przebóg! wprowadzasz mnie w pokuszenie, abym popełnił zbrodnię, uznając cię za moje dziecko! Sam jeden jestem na świecie, żaden węzeł nie łączy mnie z ludźmi, ani do życia nie wiąże! Wszystkie te uczucia, jakie istniały między mną a moimi bliźniemi, zostały powoli stargane jedno po drugiem! Myślisz, że gdybym miał prawo do tkliwości i przywiązania takiej jak ty istoty, zrzekłbym się tego prawa? Wszak posiadanie takiego syna byłoby dla mnie chlubą, szczęściem najwyższem!... Jesteś-że teraz przekonany?

— Tak jest, wierzę ci, — odparł nasz bochater, a w jego łonie zadowolenie i żal za straconem złudzeniem dziwnie zarazem się zmięszały; bo rzeczywiście miał powód cieszyć się, że nie znalazł ojca w podwładnym swojego współzalotnika, swojego najgorszego wroga. — Ale twoje wzruszenie w chwili pojedynku... dodał.

— Łatwo wytłumaczę się z tego, — przerwał sędziwy opiekun Mirana. — Mój wychowanek był wówczas owładnięty gwałtowną gorączką; jego żelazna wola i pycha nieugięta, jedynie go przy siłach utrzymywały. Gdybym był dał spóźnić walkę waszą aż do tego czasu, kiedyby nastąpiło przesilenie napadu nerwowego, leżałbyś teraz w mogile. Pierwszy to raz widziałem Mirana chybiającego celu... Żegnam cię! — dodał z pospiechem, — czas bym wrócił do willi. Nie wspominaj nikomu o tem spotkaniu dzisiejszem ze mną, ani o przysłudze, jakąś mi wyświadczył. Mam ważną przyczynę prosić cię o zachowanie w tajemnicy, co się stało. Ten dzień wzbogacił cię jednym przyjacielem więcej, a przejednał ci jednego nieprzyjaciela.

Henry obiecał milczeć.

Podczas tej rozmowy, Will Sideler, odzyskawszy zwolna zmysły, wśliznął się w zarośla, pełzając jak wąż. Zniknąwszy im z oczu, powstał i z parku wybiegł, pomrukując gorzkie przekleństwa i przysięgając sobie stokrotnie, że się zemści na młodym Ashtonie, za zniweczenie jego zamachu zabójczego. Rzecz nie pojęta! że nie wiele się obawiał odwetu Khana. Wiedział o nim dostatecznie, aby mieć to przekonanie, iż nie on go wyda w ręce sądu za ten zamach na jego życie.

— Nadaremnie zdawało mi się, że go poznałem, — szeptał sam do siebie, — teraz już pewny tego jestem. Jużeśmy dawniej raz z sobą walczyli; tylko wówczas był silniejszym daleko... To dziwna przecie, ze w końcu nieboszczykowie wracają między nas...

Złoczyńca zaczął gwizdać z uczuciem wzrastającego niebezpieczeństwa, i podwajał kroku, by dojść do drzwi Carrow, gdzie zamierzał prze-

nocować. Słyszał obietnicę milczenia o całej przygodzie, uczynioną przez młodego wybawcę Khana, a mniemał, że posiada pewne wiadomości o tym ostatnim, i to go czyniło spokojniejszym o przyszłość.

— Stary Marcin miał słuszność przecie, — mówił w duchu Henryk, wsiadając na konia, którego był uwiązał u kraty parku, — i ja ścigając płonne urojenia, straciłem chwile, które mógłbym poświęcić miłości i Ellenie. A jednak nie są one całkiem stracone, — dodał z uczuciem zadowolenia, — wszakże nastręczyły mi sposobność obronienia życia człowiekowi.

Kiedy renegat wszedł do komnaty Indyanina, powierzchowność jego nie zachowała jego już żadnych śladów walki z królikarzem, tylko twarz była jeszcze bledsza niż zwykle.

Miran pytał go o powód tak długiej nieobecności.

— Odprowadziłem tego człowieka aż do bramy zwierzyńca, jakeś mi to rozkazał.

— Jam to rozkazał! — powtórzył młodzian z nieudanem zadziwieniem. — Nie zalecałem nic podobnego... ale znajduję, że ta twoja przezorność bardzo była na miejscu.

Starzec przypatrzał mu się bacznie; miał niewyraźnie podejrzenie, które jednakże natychmiast się rozprószyło. Odtąd był przekonany, że tylko obawy Willa Sidelera pobudziły go do tego zamachu na jego życie. Było to wielką ulgą dla jego serca, że człowiek, którego kochał i pielęgnował tak wiernie od dzieciństwa, nie miał żadnego udziału w tej zbrodni.

XXXII.

Smutek głęboki owładnął biedną Ellenę, skoro dowiedziała się o blizkim wyjeździe Henryka; jakieś przeczucie grożącego niebezpieczeństwa, niby lodem ścięło jej duszę; jednak usiłowała pokonać to przykre uczucie. Nie powątpiewała ani o wierności narzeczonego, ani o swej stałości. Starała się szukać pociechy w tej myśli, że kochanek jej będzie oddalony od Mirana, którego zemsty dlań ciągle się obawiała. Czystość serca nie nasunęła jej nigdy tego przypuszczenia do głowy, żeby ona sama miała potrzebować obrońcy przeciw upartej i nieprzezzwyciężonej namiętności dawnego towarzysza swej młodości. Zresztą, wyobrażała sobie radość swojego ukochanego wuja w razie, gdyby się ziściły nadzieje, które były głównym celem podróży młodego Ashtona, gdyby mógł przywieść odszukanego syna, któryby stał się godnym spadkobiercą cnót, imienia i majątku sir Williama Mowbray! Wyjazd Waltera, którego miała czas poznać i pokochać jak brata, smucił ją także niemało.

— Jakże stare Opactwo opustoszeje teraz, gdy oni oba wyjadą! — mówiła niejednokrotnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOLEDA UBOGICH.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Swięta Bożego Narodzenia i dzień Nowego Roku, niezmiernie ożywiają i powiększają ruch w wielkich miastach. Sanki lub dorożki, stósownie do zimy, czy ustali się śniegiem i mrozem, czy odwilżą zapowie złudne nadzieje wiosny, krążą od rana wraz z pojazdami, spiesząc w rozwożeniu tych, co osobiście podążają z powinszowaniami.

Ze zmrokiem wieczornym nie ustaje gwar po mieście, bo to dnie radosne, w każdym do-

mu jasno i wesoło. Rodzinne kółka zbierają się, ażeby przepędzić je razem, bo Bóg dobry wie tylko, czy na drugi rok zgromadzą się wspólnie!

Mróz nie ustawał i teraz z nocą śnieżyca zawitała po ulicach, i w samą Wigilię dwoje sierot wysunęło się nieśmiało ze swego poddasza zimnego, czy nie znajdą przypadkiem jakiego wsparcia od dobroczynnego człowieka.

Z oddalonego przedmieścia, stanęły na główniejszej ulicy; zatrzymała ich jasna łuna bijąca z piętrowych okien i śpiew tak dobrze im znajomy kolędy.

Podniósłszy głowy, z po za szyb niezamarzniętych dojrzały choinkę illuminowaną, a dalej szopkę, którą liczne grono zaciekawionej dziatwy otaczało.

Obie siostry boleśnie westchnęły i łzy stanęły im w oczach. Niedawno, gdy żył ojciec i matka, i one w ciepłem mieszkaniu miały swoją choinkę, którą przystrajały w jabłka, pierniki, cukierki i świeczkami przyozdabiały. Ale gdy ojciec główny zarobek życia bez własnej winy utracił i z rozpaczy umarł — kiedy matka, nie mogąc przeżyć tak bolesnej straty, wkrótce poszła za nim, dwie córki pozostały bez opieki i pomocy, bo z krewnych nie miały nikogo w Warszawie, a z litości gospodarz, u którego rodzice ich mieszkali, dał im izdebkę próżną na poddaszu, aby przezimować mogły.

— Jadwisiu! — rzekła starsza — chodźmy dalej, tu nic nie wypatrzymy, tylko nas więcej serca boleć będą.

— Moja Andzieczko, pozwól jeszcze chwilkę — mówiła rzewnym, a dźwięcznym głosem młodsza — niech się popatrzę! To mi przypomina, jak przeszłego roku, gdy tatko i matuchna żyli, my razem z nimi stroiłyśmy choinkę i patrzyłyśmy radośnie na szopkę, co nam ojczulek sprowadził.

I nie zważając na śnieg padający, coraz więcej podnosiła główkę, chciwie wpatrując się w okna oświetlone.

W tej właśnie chwili starsza uczuła, że ręka obca schwyciła ją za ramię. Z przestrachem spojrzała, i ujrzała bogato przybraną panią, która z wyrazem dobroci w obliczu, zapytała miłym głosem:

— To wy biedne sierotki?

— O tak dobra pani! — odrzekła Jadwisia — wyszłyśmy z zimnego poddasza, szukając litośnej duszy.

I wymówiwszy te słowa, załkała rzewnie, a słysząc to młodsza, płakać zaczęła głośno.

— Moje dzieci kochane! utulcie łzy wasze i chodźcie ze mną, to się ogrzejecie.

A ująwszy obiedwie za ręce, nieznajoma pani wiodła je właśnie do domu, przed którym stały. I z wielkiem ich podziwieniem wprowadziła do tego samego mieszkania jasno oświeconego, w które się z ulicy tak wpatrywały.

Na widok wchodzącej pani służba powstała i z uszanowaniem ją powitała; drzwi się od sali na ścieżaj roztwarły i wybiegła z nich gospodyni domu, rzucając się z radosnym okrzykiem w jej objęciu.

— Kochana siostro! — przemówiła ona — Bóg mi wielce poszczęścił, bo oto spiesząc do was na herbatę, spotkałam te dwoje sierotek i podsłuchałam ich rozmowy. Patrz, moja droga, imiona mają też same; starszej, jak mnie, Anna, młodsza twoje ma imię!

Czworo drobnych dzieci od szopki za matką wybiegło i z ciekawością patrzyło na sieroty, ubogo ale czysto ubrane, a drżące jeszcze z zimna.

Pani domu pocałowała je w główki i zaprosiła, ażeby się rozgościły; siostrze zaś serdecznie podziękowała, że daje jej sposobność dobrego uczynku.

— Co do tego, moja Jadwiniu, to już się nimi podzielimy na równo, tak jak się kochamy szczerze. Teraz każ nam dać gorącej herbaty, bo widzisz, jak drżą biedaczki.

Nieśmiałe z początku sieroty, wśród serdecznego przyjęcia, wkrótce się oswoiły. Razem z gronem domowej dziatwy zasiadły przed szopką, która na nowo się z wielką uciechą młodych widzów rozpoczęła.

Biedne i opuszczone siostry teraz zapomniały i o swych łzach i nędzy, łącząc radosny śmiech z drugiemi, gdy w szopce zaczęli bić się z sobą dziarskie parobczaki.

Prędko czas i mile im uleciał i już był późny wieczór. Ze smutkiem powstały a dziękując dobrym paniom za przyjęcie, spieszyć chciały do domu.

Ale starsza pani, która ich z ulicy przywiodła, wyrzekła:

— Dziś moje sierotki, po Wigilii, którą spożyjemy razem tu u siostry mojej, zanocuje-

cie, a jutro sama was do mieszkania waszego odprowadzę i pomyślemy, co dla was zrobić będzie można.

Biła dwunasta z północy, gdy obiedwie dzieciny, po gorącej modlitwie, na wygodnem posłaniu, w objęciach wzajemnych usnęły, i nie zbudziły się aż nad ranem. Radosne po śnie smacznym i w ciepłym pokoju, czekały z pokorą, czy rychło ujrzą swoją opiekunkę. Jakoż niedługo ukazała się wraz z siostrą i po śniadaniu zabrała je z sobą.

Najprzód zawiozła je do ich mieszkania, a po rozmowie z gospodarzem domu, podziękowawszy mu za chwilową opiekę, oświadczyła, że będąc sama bezdzietną, bierze je na wychowanie. Z radością opuściły smutne i zimne swoje poddasze, a gdy zacna opiekunka przeznaczyła im pokoik wygodny i przyrzekła stałą macierzyńską opiekę, rzuciły się do kolan swej dobrodziejce, łzami tylko dzięki swoje składając.

Zdarzenie to, które właśnie miało miejsce w Warszawie, sprawdza starych ojców przysłowie, że:

nad sierotą Bóg opiekunem.

My zaś powtórzymy z Wincentym Polem:

„Choć życie nasze idzie jak po grudzie,
Przecież na świecie nie są tak źli ludzie."

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB

Ciąg dalszy.)

Sposób robienia kropli gorzkich,
na zaprawienie wódki do picia w czasie niestrawności lub ciśnienia w żołądku, które nawet i febry leczą.

Bierze się:
2 uncye aloesu,
½ uncyi cynamonu przedniego,
½ uncyi gencyanny,
¼ uncyi zedoiru,
¼ uncyi agariku,
¼ uncyi rhabarbarum,
¼ uncyi theryaku weneckiego,
¼ uncyi szafranu przedniego;
to wszystko zdrobniwszy, wsypuje się w butel i nalewa się 3 kwaterki okowity czystej, tedy niech stoi przez 2 tygodnie w ciepłem miejscu, codzień mięszając: potem przefiltrowawszy, schować do potrzeby.

Sposób robienia kropli macicznych,
Elixier proprietatis *zwanych, które są na wiele chorób pomocne.*

Bierze się:
1 ½ uncyi rhabarbarum wybornego,
1 uncyę aloesu succotrinum zwanego,
1 uncyę aggaricus,
1 uncyę miry przedniej,
1 uncyę castoreum.
½ uncyi szafranu przedniego,
½ uncyi mastyxu,
½ uncyi cynamonu przedniego,
2 uncye teryaku weneckiego;
to wszystko włożyć w butel, wlać trzy kwaterki okowity, zawiązać mocno; tak niech stoi przez dwa tygodnie w ciepłem miejscu, tedy owedy mieszając. Potem przecedzić przez płatek czysty, wycisnąć i schować od potrzeby. — Daje się naraz około 30 kropli w kieliszku wina lub dobrej wódki.

Ten elixier sekretny ma dziwne skutki na rozmaite choroby, osobliwie żołądkowe i maciczne, na defekta wątroby i śledziony, na zatrzymane miesięczne odchodzenie, na kolki i gryżenie w żołądku, na czkawkę i na glizdy w żywocie, na kurcze wewnętrzne, choćby nawet choleryczne były.

Sposób robienia octu aromatycznego, sekretnego.

Weźmij piołunu i wrotyczu samych wierzchołków, rozmarynu, szałwii, rumianku, mięty, ruty, kwiatu lewandowego, wszystkiego po 3 uncyę; cynamonu, gałki muszkatułowej, dzięglu angelica zwanego, czosnku, jałowcu, ziela Cardopatium, kalmusu, melisy dzikiej, wszystkiego po pół uncyi a kamfory 1 uncyę;

to wszystko drobno pokrajać i nalać mocnym winnym octem 4 kwarty, postawić na słońcu ciepłem; niech stoi trzy tygodnie: potem przefiltrować i zachować w butli dobrze zakorkowanej.

W nagłej potrzebie można też krótko zagotować i wystudzić, do użytku i zachowania.

Ocet ten w czasie gwałtownych kurczów używa się do smarowania tego miejsca, i po pół łyżki popijając. Także w zaraźliwych chorobach służy do kadzenia, pokropiwszy rozpaloną żelazną łopatkę. Z doświadczenia własnego autor tego dziełka zapewnia, że w czasie gwałtownej cholery w pewnym domu wszyscy naraz zachorowali, a nie mając innego lekarstwa, popijali często tego octu po pół łyżki, i wyzdrowieli.